Nieśmiały na Parnasie: Augusto Monterroso (1921-2003).



Augusto Monterroso (1921-2003).

Florian Śmieja

Jeszcze w Anglii miałem okazję uczestniczyć w pierwszych spotkaniach z pisarzami, którzy nagle stali się bohaterami mody na literaturę latynoską, bo zaczęła święcić niespodziewane triumfy. Przypominam sobie przylot z ambasady w Paryżu do Londynu Chilijczyka **Jorge Edwardsa**, by wespół z młodym **Vargas Llosą** rozpowiadać cuda o dynamicznej nowej powieści zza oceanu. Kiedy przedstawiłem się jako Polak **Borgesowi** z matką objeżdżającemu Europę, ten przywitał mnie słowem „chleb”, które sobie skądś zapamiętał. Potem pojechałem specjalnie do ambasady kubańskiej, by posłuchać **Alejo**

Carpentiera. Niestety, słynny pisarz został zobligowany do wygłoszenia pochwały Fidela Castro. Pamiętam jeszcze, jak biegali za nim potulni sprawozdawcy z Europy Wschodniej, z przedstawicielem Instytutu Polskiego na czele. Później, na konferencji w Miami poznałem guru nowego zjawiska powieści latynoskiej, **Emira Monegala**.

Mieszkającego na emigracji w Meksyku pisarza gwatemalskiego spotkałem na zjeździe pisarzy Ameryki Łacińskiej, na uniwersytecie kanadyjskim w Windsor, w roku 1972. Był wtedy z nami m.in. **Vicente Leñero**, **Bryce-Echenique**, **Arturo Azuela**, **Salvador Elizondo**, **Manuel Puig** oraz **Augusto Monterroso**, zwany **Tito –** łysiejący mężczyzna w wieku średnim, niewysoki i jowialny, wyglądał na beniaminka słynnej falangi pisarzy, którzy w połowie dwudziestego wieku stworzyli wysoką falę powieści latynoskiej. Rozlała się ona potem po świecie, wywołując podziw i powszechne uznanie.

Chilijski pisarz i krytyk, autor "Osobistej historii boomu" zajął się tym szczególnym rozkwitem prozy Ameryki Łacińskiej, koncentrując się na nazwiskach najgłośniejszych, ale nie pomijając innych pisarzy, wśród nich **Augusta Monterroso**.

Ten Gwatemalczyk urodzony w 1921 roku w stolicy sąsiedniego Hondurasu, Tegucigalpie, okazał się bystrym samoukiem i zawziętym czytelnikiem. Wczesne zainteresowanie literaturą

łączył z polityczną aktywnością narażając się na ustawiczne zderzenia z władzami, z dyktatorami i ludźmi na usługach USA, a w szczególności potężnej *United Fruit Company*. Po upadku Arévalo i Arbenza salwował się ucieczką na emigrację i osiadł na stałe w 1944 roku w Meksyku, gdzie mieszkał aż do śmierci w 2003 roku. Zmarł na atak serca w Mexico City. Tu wydał pierwsze książki i znalazł zatrudnienie jako pedagog na Narodowym Uniwersytecie Meksykańskim. Zapewne do najszczęśliwszych chwil jego życia należało doczekanie się po pięćdziesięciu latach wojny domowej rozejmu i ugody między rządem Gwatemali a przywództwem popularnej partyzantki.

W roku 1959 wydał niewielki objętością tom prozy pod niezwykłym tytułem „Dzieła wszystkie (i inne opowiadania)". Był to zbiór bajek zdradzających już cechy charakterystyczne, które odtąd miały znamionować styl twórczości **Monterroso**: prostotę prozy, przystępność z tendencją do parodii. Swoje bajki i narracje pełne absurdu, paradoksu, pisał językiem klarownym i zaprawiał czarnym humorem.

Pisarz rzadko publikujący dopiero w roku 1969 wydał "Czarną owcę i inne opowieści". **Garcia Marquez** ostrzegał:

> Tę książkę trzeba czytać z rękami podniesionymi do góry: jej niebezpieczeństwo polega na skrytej mądrości i

> śmiercionośnej urodzie braku powagi.

W 1972 wydał “Pepetuum mobile”, potem “Reszta jest milczeniem” i “Żywot Eduarda Torresa” oraz “Podróż do wnętrza bajki”.

Miro la literatura como un juego – Literatura jest dla mnie grą, mówi prowokująco **Monterroso**, dobrze wiedzący, że jego koledzy byli mocno zaangażowani jako pisarze. Jego zdaniem, literatura upolityczniona pierwsza idzie w zapomnienie. W jego twórczości zauważamy, że powoli zaniknął w niej komentarz polityczny i społeczny. Otwarcie głosił, że jedynym obowiązkiem pisarza jest niepublikowanie podrzędnych utworów. Jedna z jego słynnych przypowieści, być może aluzja do renomowanego meksykańskiego pisarza **Juana Rulfo**, to historia o mądrym lisie, który broni się przed opublikowaniem chałtury i wychodzi zwycięsko z presji ogółu, by wydał tekst nie na poziomie.

Monterroso przedkładał myślenie nad pisanie, jego umysł usiłował stwarzać, choć zdawał sobie jasno sprawę, że wymyślał jedynie to, co już zostało wymyślone. Dlatego zanotuje, że pisanie jest czynnością zbędną, bo wszystko już zostało powiedziane:

> jedynie ignorancja każe nam odczuwać, że jesteśmy zdolni

> powiedzieć coś ważkiego, czego nie powiedziano dotąd lepiej.

Jeśli więc nie totalne milczenie, to daleko posunięta wstrzemięźliwość, zwięzłość, a to wymaga wyrafinowania i subtelności. **Monterroso** lubił parodie. Znakomicie potrafił naśladować zadęty, napuszony styl akademicki, koturnowy sposób mówienia krytyków literackich czy badaczy naukowych.

Mimo nadzwyczaj starannego obchodzenia się z językiem nie pisał pod krytyków, chciał być powszechnie czytany, choć nie zabiegał o względy jakiejś szczególnej warstwy społecznej. Gdyby szukać filiacji jego typu pisania, to trzeba by wymienić **Borgesa**. Niełatwo zakwalifikować ich twórczości. U obu daje się zauważyć nuta pesymizmu.

Monterroso lubował się w eksperymentowaniu gatunkami, które nie weszły do struktury współczesnej powieści. Pisał więc bajki inaczej. Zachował niektóre tradycyjne elementy, inne przemieniał i odwracał. Często w ten sposób tworzył zlepy rafinowanego humoru, wnikliwości, złej wiary. Ponieważ jego zdaniem moralizowanie jest właściwie bezskuteczne, nie należy szukać u niego morału.

> Osiem jego bajek czy opowiastek wydrukowałem w 1974

> roku w Londynie w kwartalniku “Oficyna Poetów”. Opatrzyłem je następującym komentarzem:
>
> Jego opowiadania i bajeczki są wielowarstwowe i inteligentne, traktują o słabościach i ambicjach ludzkich z olimpijskim pobłażaniem. Satyra złagodzona jest dobrodusznym spojrzeniem, a to co zdało się być zabawne i zaciekawiające, zdolne jest poruszyć intymne strony, wzruszyć i zaniepokoić nagłym zwrotem i niespodziewaną aluzją.
>
> Oto jedna z jego opowiastek zatytułowana „Samson i Filistyni”:
>
> Był pewnego razu zwierz, który chciał się zmierzyć z Samsonem. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co się z nim stało. Ale wiecie też, jak później powiodło się Samsonowi z Delilą sprzymierzoną z Filistynami.
>
> Jeżeli chcesz zwyciężyć Samsona, połącz się z Filistynami. Jeżeli chcesz zwyciężyć Dalilę. połącz się z Filistynami.
>
> Zawsze łącz się z Filistynami.

Dwa lata później w przekładzie Marii Sten oraz Andrzeja Sobol-

Jurczykowskiego wyszedł w Wydawnictwie Literackim w Krakowie wybór opowiadań **Monterroso** pod tytułem “Mr. Taylor i inni”.

Na zjeździe pisarzy w Windsor, **Monterroso** przekornie kajał się przed swoimi towarzyszami, że wśród nich, pilnych pracowników pióra, czuł się jak Judasz. W odróżnieniu od nich nie pisze, ale poprawia. Nie jest ani powieściopisarzem, co najwyżej autorem opowiadań, żyjącym w ciągłym strachu, że mu odejdzie czytelnik, któremu pisarz serwuje niepotrzebne, zbędne części tekstu, Dlatego postanowił kultywować krótkie formy pisarstwa: aforyzm, bajkę, nowelę, esej. A wszystko to przy pomocy bardzo oszczędnego języka. Swoją ekonomię podkreśla z zachwytem:

> Dzisiaj mam dobre samopoczucie, jestem Balzakiem. Oto kończę ten wers.

W podobnym duchu napisał uwagę:

> Każdą literacką pracę należy ciągle poprawiać i skracać. *„Nulla die sine linea”.* Każdego dnia anuluj jedną linijkę.

Jak osiąga swoją zwięzłość? Skreślając:

> Trzy skreślone linijki są więcej warte od jednej dodanej.

Bo zwięzłość jest elegancją, a ozdoby i powtórzenia ani nią nie są, ani są potrzebne. To Cezar, jego zdaniem, wymyślił telegraf donosząc “veni, vidi, vici”.

Nic więc dziwnego, że od początku zainteresowały go bardzo aforyzmy Leca, które mu zacytowałem. (Sam zresztą również pisał aforyzmy, jak chociażby “Nawet aplauz głupca miły jest mędrcowi”). **Monterroso** był wprawdzie raz w Warszawie, gdzie spotkał się z będącym tam na placówce dyplomatycznej meksykańskim pisarzem **Sergio Pitolem**, w towarzystwie **Juana Rulfo** i **Julio Cortazara,** ale o Lecu nie słyszał, jak sam później napisał w dodatku “Sabado” do dziennika “Unomasuno” z 10 września 1984 roku. W tym też artykule, który mi dziś służy jako *aide-memoire*, wspomniał nasze poznanie w Windsor oraz kolejne spotkania w Meksyku, na uniwersytecie, w jego domu i w 1983 na wystawie książki. Jego książki z dedykacjami dla mnie przypominają, oprócz 1972 roku, także lata 1982 i 1984. We wzmiankowanym artykule dziwuje się, że zabiegałem o rozsławienie aforyzmów Leca, nazywając moją akcję rzadką posługą, której w meksykańskiej sytuacji pisarzy nie doświadcza wcale. (Właściwie to już w madryckim miesięczniku w 1966 roku udało mi się wydrukować kolumnę myśli Leca pod tytułem “Polonesa no brillante”).

Przypomina w tych fragmentach pamiętnika, że na moją prośbę umieścił wybór "Myśli nieuczesanych" w moim przekładzie w piśmie "Creación y Critica", a także, że w czasie oglądania wystawy książek w 1983 roku zasugerował, by mały wybór aforyzmów Leca spróbować wydać właśnie w serii tekstów lektury Wydawnictwa Uniwersyteckiego. Rzeczywiście, udałem się, z pomocą **Monterroso**, do nich i przełożywszy 395 wybranych myśli pod tytułem "Pensamientos desmelenados" posłałem do wydawnictwa opatrzywszy je krótkim wstępem oraz dowcipną jednostronicową autobiografią Leca. **Monterroso** przedrukował kilka moich stwierdzeń i całą wypowiedź Leca, która mu się bardzo spodobała. Była to równocześnie pierwsza reklama zapowiadająca przyszłą książeczkę. Ozdobiona akwarelą Juliusza Studnickiego "Arcydiabeł" ukazała się w nakładzie czterech tysięcy egzemplarzy w roku 1985 i rozeszła się błyskawicznie.

Monterroso zasłynął z dowcipnych uwag o pisaniu. I tak młodemu poecie poradził, by nie rozdawał swoich tomików, ale sam je zniszczył Dowodził, że pisarzowi wystarcza jedynie pióro i papier, że pisanie jest manią, sposobem zwracania na siebie uwagi, a więc zaspakajaniem próżności. Bodźcem bywa oglądanie swojego nazwiska w gazecie, co wywołuje zawsze czyjąś zawiść. Pisać trzeba w skromności i na marginesie właściwego zawodu. Uważa też, że próbować żyć z pisania kłóci się z dobrą tradycją humanistyczną.

Do oryginalności **Monterroso** nie przywiązuje wielkiej wagi. Wszystkich piszących uważa za złodziei, z tym, że w jego opinii, niektórzy robią to bardziej subtelnie, zaś ci, co nie kradną, należą, jego zdaniem, do najlichszych pisarzy.

Pisaniu pomaga przebywanie za granicą, gdyż ludzie znający się od urodzenia, nie wierzą w wyjątkowość czy talent znanych sobie ludzi. Jego zdaniem, pisarz stacza pierwsze boje ze swoimi rodakami, a kolejne z przyjaciółmi. Łatwo natomiast jest kontestować władze, a nawet stawianie się okoniem rządzącym może być pomyślną strategią, gdyż jeśli nie powiedzie się nam jako pisarzom, to możemy winę zwalić na rządzących. Dywersję i swoje oryginalne znamię znajdziemy natomiast w każdym dobrym dziele. Notoryczności zdobytej przez rewolucje, pieśni protestu czy np. schlebianie muzyce pop przez stateczne radiostacje, zupełnie nie poważa.

Spytany o odpowiedzialność społeczną odpowiada, że należy ona do wszystkich. Pisarz jest artystą, a nie reformatorem. Tłumaczy, że proste wiersze Kubańczyka **Jose Martiego** są dziełem pisarza. Kiedy natomiast **Marti** chciał działać jako polityk, wziął karabin, przeprawił się przez Morze Karaibskie, dosiadł konia i zginął pięknie w pierwszej bitwie. Wiedział zawsze, co robi.

Jedynym zadaniem pisarza to pisać na poziomie, bez względu na to, czy ma pieniądze, czy nie, czy ma czytelników, czy jest

żonaty, czy jest dziewicą czy męczennikiem, partyzantem czy policjantem, piromanem czy strażakiem. Sytuacja ekonomiczna, powiada, nie ma nic do rzeczy. Milionerzy książek nie piszą (a w Meksyku, także nie czytają, dopowiada).

Mieszkając w ciepłej strefie globu zredukował całą tematykę twórczości do trzech zagadnień: miłości, śmierci i much. Klucz do wielu kłopotów z egzystencją widzi w humorze. Uważa go za realizm doprowadzony do końca. Zauważa, że człowiek jest niezadowolony z bycia najgłupszym spośród stworzenia, więc nadto jeszcze pragnie być jedynym śmiesznym.

To wszystkie dywagacje zapewne sprawiły, że **José Donoso** do szczupłej grupy pisarzy odpowiedzialnych za powstanie wielkiej podaży na literaturę Ameryki Łacińskiej zalicza również **Augusta Monterroso**, a **Carlos Rincón** mówiąc o prawdziwej retorcie doświadczalnej prozy latynoskiej powołał się m.in. na eksperymentowanie **Monterroso**.

Stanisław Jerzy Lec na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/hece-z-lecem-1909-1966/

Bogdan Czaykowski. Rocznicowe wspominanie.

Konferencja poświęcona twórczości Bogdana Czaykowskiego w 85. rocznicę urodzin poety i 10. rocznicę śmierci, na Uniwersytecie Rzeszowskim.



Bogdan Czaykowski, fot. Biuletyn Polonistyczny.

Bożena Szałasta-Rogowska

Choć sam Bogdan Czaykowski w wierszu *Testament* zamieszczonym w tomie *Okanagańskie sady* z 1998 roku napisał:

> Nie pozwalam na gadanie kazań
>
> Na rytuały i liturgie.
>
> Ma być – jak będzie – cisza,

to jednak w 85. rocznicę jego urodzin i równocześnie 10. rocznicę jego śmierci z inicjatywy Zakładu Literatury Polskiej XX Wieku Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego, Zakładu Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego oraz Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza”’ w ramach konferencji naukowej spotkali się w Rzeszowie znawcy jego twórczości.

Międzynarodowa konferencja naukowa zatytułowana *„Ziemiec” – o życiu i twórczości Bogdana Czaykowskiego* odbyła się w dniach 15–16 listopada 2017 roku na Uniwersytecie Rzeszowskim. Wzięło w niej udział 25 naukowców, którzy reprezentowali ośrodki naukowe polskie (Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Rzeszowski, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Uniwersytet Mikołaja Kopernika) i zagraniczne (University of British Columbia z Vancouver w Kanadzie).

Konferencja została poświęcona **Bogdanowi Czaykowskiemu** (ur. 10 lutego 1932 roku w Równem na Wołyniu, zm. 16 sierpnia 2007 roku w Vancouver) jednemu z najciekawszych polskich poetów XX wieku o bogatej, dramatycznej biografii, której ważnymi epizodami były: dzieciństwo spędzone na Kresach, lata zesłania z rodziną w głąb Rosji (1940–1942), tam aresztowanie i śmierć ojca oraz później, w trakcie wędrówki za Armią Andersa,

również młodszego brata – Jerzego, kilkuletni pobyt z matką w polskich sierocińcach w Indiach (1942–1948), lata nauki i studiów w Wielkiej Brytanii i Irlandii, debiut literacki, współtworzenie młodoliterackiego środowiska w Londynie (redagowanie pism: „Życie Akademickie", „Merkuriusz Polski", „Kontynenty") (1948–1962); w 1962 roku przeprowadzka z rodziną na zachodnie wybrzeże Kanady, wieloletnia praca wykładowcy akademickiego na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii w Vancouver, działalność naukowa, dydaktyczna, społeczna, popularyzująca polską kulturę w kręgu anglosaskim.

Bogdan Czaykowski jest autorem jedenastu zbiorów i wyborów poezji: *Trzciny czcionek* (Londyn 1957); *Reductio ad absurdum i przezwyciężenie. (Dialektyka wiersza)* (Londyn 1958); *Sura* (Londyn 1961); *Spór z granicami* (Paryż 1964); *Point-no-Point (1953–1970)* (Paryż 1971); *Wiatr z innej strony. Wiersze zebrane z lat 1953–1989* (Kraków 1990); *Okanagańskie sady* (Wrocław 1998); *Superkontynentalny Toronto–Vancouver. Tryptyk* (Berlin–Toronto 2001); *Jakieś ogromne szczęście. Wiersze wybrane z lat 1956–2006* (Toronto–Kraków 2007); *Ziemioskłon* (Toronto 2007) oraz z Andrzejem Buszą dwujęzycznego tomu *Pełnia i przesilenie / Full Moon and Summer Solstice* (Toronto–Rzeszów 2008). Z **Adamem Czerniawskim** opublikował wybór rozmów: *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach rozmawiają Bogdan Czaykowski i Adam Czerniawski* (Toronto–Rzeszów 2006).

Czaykowski jest redaktorem oraz autorem wyboru i koncepcji *Antologii poezji polskiej na obczyźnie 1939–1996* (Warszawa–Toronto 2002), autorem licznych przekładów poezji polskiej na język angielski, w tym (z **Andrzejem Buszą**) **Mirona Białoszewskiego** *The Revolution of Things* (Washington 1974) oraz wyboru poezji *Gathering Time: Five Modern Polish Elegies* (Mission 1983). Na język polski przełożył też dwa zbiory wierszy **Andrzeja Buszy** *Glosy i refrakcje* (Berlin–Toronto 2001) oraz *Obrazy z życia Laquedema / Scenes from the Life of Laquedem* (Berlin–Toronto 2008), wiersze poetów angielskich, kanadyjskich, rosyjskich, chińskich i japońskich oraz pracę kanadyjskiego politologa polskiego pochodzenia Władysława J. Stankiewicza *Niezbędność teorii politycznej. Klasyczne pojęcia w dobie relatywizmu* (Wrocław 2003). Jest autorem szkiców i książek socjologicznych: *Polacy w Wielkiej Brytanii* (współautor Bolesław Sulik) (Paryż 1961); *Polish Writing in Canada. A Preliminary Survey* (Ottawa 1988), redaktorem polskiej edycji pisma „Modern Poetry in Translation” (1975, nr 23/24), autorem wielu haseł o polskiej literaturze w amerykańskich kompendiach i słownikach. Ogłosił po polsku i po angielsku wiele prac krytycznoliterackich.



***

Badacze zebrani w listopadzie 2017 roku na Uniwersytecie Rzeszowskim spróbowali zmierzyć się z tym bogatym dorobkiem i spojrzeć zarówno na poezję, prozę, eseistykę, jak i na teksty

krytycznoliterackie czy socjologiczne **Bogdana Czaykowskiego**. Starano się też omówić jego dorobek translatorski i redakcyjny oraz aktywność jako antologisty, epistolografa i interlokutora.

– Konferencję zainicjowało poranne wystąpienie **Jerzego Sikory**, który, tropiąc zawiłości epistemologiczne, mówił o poezji Bogdana Czaykowskiego jako o źródle poznania.

– Następnie **Marian Kisiel** „wędrował w czasie" z Bogdanem i Jadwigą Czaykowskimi, wskazując między innymi na bogactwo możliwości interpretacyjnych tkwiące w ich niepublikowanej dotąd wspomnieniowej prozie autobiograficznej zatytułowanej *Ocalone przez bociany. Autosekwencje*.

– Później **Janusz Pasterski** podjął się omówienia tematu tylko pozornie łatwego w tym dorobku twórczym, mianowicie kwestii miejsca i czasu, które jak wszystko w tej poezji ewoluują, „przybierają maski", są pojęciami spetryfikowanymi i niestabilnymi czy liminalnymi jednocześnie.

– Z kolei, sugerując „malarskie widzenie" Czaykowskiego, o fotograficznych inspiracjach poezji autora *Wiatru z innej strony* mówił **Roman Sabo** z Vancouver.

– Następnie przyszła pora na zaprezentowanie przez **Annę Reczyńską** działalności Bogdana Czaykowskiego jako socjologa i

historyka, który w książce *Polacy w Brytyjskiej Kolumbii* przedstawił polską grupę etniczna w Kanadzie.

– Ważne było też omówienie przez **Beatę Tarnowską** korespondencji autora *Sury* z Janem Brzękowskim, a przez **Ninę Cieślik-Wilk** z Florianem Śmieją przyjacielem z grupy Kontynenty.

– O związkach, dziejach i roli jaką odegrał Bogdan Czaykowski w tej londyńskiej grupie młodych poetów, piszących na obczyźnie po polsku w drugiej połowie XX wieku, mówił z kolei **Jan Wolski.**

– W następnej sekcji konferencji pojawiły się na przykład interesujący portret podwójny Czaykowski-Wierzyński „namalowany" przez **Jakuba Osińskiego**, analiza i interpretacja utworów tychże autorów poświęconych dramatycznej śmierci Jana Palacha dokonana przez **Zenona Ożoga**, zabrzmiała tu także „muzyka żalu", której dopatrzyła się w poezji Bogdana Czaykowskiego **Ewelina Radion**. Zaś tropami zwierząt wszelakiej maści w tym dorobku podążała **Magdalena Kokoszka**.

– Pierwszy dzień konferencji zakończył *Bogdana Czaykowskiego portret kubistyczny z autopsji*, czyli rozmowa wspomnieniowa prowadzona przez **Janusza Pasterskiego** z udziałem osób, które

poznały osobiście bohatera konferencji, czyli jego wieloletnich przyjaciół – **Andrzeja Buszy** i **Romana Sabo**, **Magdaleny Rabizo-Birek**, **Jana Wolskiego** oraz **Bożeny Szałasty-Rogowskiej**. Portret utkany ze słów uczestników tej rozmowy dopełnił wizerunek artysty, wyłaniający się z prezentowanych podczas wystąpień referatów. Bogdan Czaykowski ukazany w nim został między innymi jako poeta, niebywale wyczulony na delikatną materię słów, precyzyjny tłumacz literatury angielskiej, przyjaciel, wykładowca i wychowawca studentów, kierownik vancouverskiej slawistyki czy epistolograf.

– Kolejną cząstkę konferencji, odbywająca się już następnego dnia, otworzyła **Anna Jaworska**, mówiąca o literackich obrazach Kanady w poezji Bogdana Czaykowskiego, następnie **Katarzyna Niesporek** wnikliwie interpretowała *Ogród* – jeden z najsłynniejszych wierszy tego autora, z kolei **Ewa Bartos** podkreślała elementy cielesne i erotyczne w tej poezji, a **Jolanta Pasterska** odsłoniła przed słuchaczami literackie walory *Listów znad Pacyfiku*.

– Następnie przeszła pora na wiersze ostatnie, pożegnalne, funeralne czy testamentalne Bogdana Czaykowskiego, o których mówiły **Barbara Czarnecka** i **Bożena Szałasta-Rogowska**.

– Później dość obszerny dorobek krytyczno-literacki autora *Sury* poddał analizie **Kazimierz Adamczyk**, zaś translatorskiemu

przyglądał się **Arkadiusz Luboń**.

– Ciekawe obrazowanie plastyczne dostrzegła w poezji autora *Trzcin czcionek* **Elżbieta Mazur**, juwenilnym zapiskom z dzienniczka z Indii poświęciła czas **Agata Paliwoda**, a o środowisku polskim w Wielkiej Brytanii widzianym oczami Bolesława Sulika i Bogdana Czaykowskiego mówiła **Anna Jamrozek-Sowa**.

– Na zakończenie konferencji przejmujące „wiersze jednej nocy” interpretowała **Magdalena Rabizo-Birek**.


antologia
poezji
polskiej
na
obczyźnie
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"
Polski Fundusz Wydawniczy



***

W czasie dwudniowej konferencji nie sposób oczywiście podjąć wszystkich ważkich tematów dotyczących życia i twórczości **Bogdana Czaykowskiego**. Spotkanie badaczy jego dorobku dowiodło jednak, że warto było po dziesięciu latach podyskutować o zagadnieniach już „niby" omówionych wielokrotnie, „niby" dookreślonych w sposób najdokładniejszy z możliwych, jak choćby słynna metafora „ni tu ni tam", bo owa dyskusja pozwoliła na przykład na otwarcie przestrzeni dla badań nad recepcją tego projektu twórczego. Dystans dziecięciu lat, który upłynął od śmierci autora, ośmielił też krytyków

literackich do omówienia zagadnień dotąd niepodejmowanych lub ledwie „muśniętych” namysłem interpretacyjnym (np. motywów animalnych czy somatycznych), przysłoniętych być może dotąd słusznym skądinąd spojrzeniem na ten dorobek przez pryzmat dualistycznie ukształtowanej przestrzeni.

_____

Bogdan Czaykowski na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/bylo-we-mnie-wiele-tozsamosci--dramatycznych-bogdan-czaykowski-1932-2007/

Życie
nie tylko własne.

Tadeusz Walczak (1924-2003).



Florian Śmieja

Jak wspomina w swojej autobiografii “Życie nie tylko własne” Tadeusz Walczak, spotkaliśmy się w Gimnazjum i Liceum im.

Juliusza Słowackiego w Szkocji w grudniu 1945 roku w powojskowym obozie w małej miejscowości Bridge of Allan koło miasta Stirling. Tam to zawędrowała perypatetyczna szkoła z Crieff a przedtem z Glasgow. W nie najszczelniejszych barakach tzw. „beczkach śmiechu" zaczęliśmy razem uczęszczać do pierwszej klasy liceum humanistycznego. Uczniowie tej szkoły tworzyli bardzo mieszane towarzystwo złożone z żołnierzy, marynarzy, lotników i garści cywilów, oficerów, szeregowców, maruderów i kombatantów.

Nasi wykładowcy pracowali z wielkim zapałem niejednokrotnie potrafiąc z surowego materiału wydobyć niespodziewane rezultaty. Łacinnik na klasówkach otrzymywał tłumaczenia łacińskich tekstów w formie rymowanych odpowiedzi, względnie pisanych staropolszczyzną czy też polskim heksametrem. Gorliwość tę poświadczyło urządzenie wieczoru poświęconego Wergilemu p.t. „Nasz przyjaciel Maro", wzbogaconego obok istniejących, przekładami uczniów.

Wśród pedagogów wielkim mirem cieszył się Eugeniusz Wietrzny, natchniony historyk oraz sarkastyczny polonista Czesław Bobolewski, ogromnie wymagający, chyba sfrustrowany brakiem kompetentnych rozmówców i piszący samotnie z mozołem skrypt poetyki, a palący się równocześnie do odkrywania wśród swoich uczniów literackich talentów i sekundowania z oddaniem ich rozwojowi.

Latem 1946 roku szkołę przeniesiono dalej na północ nad zatokę Gareloch do miejscowości Garelochhead. Wysoko na zboczach schodzących do fiordu, w którym zakotwiczone stały duże jednostki Królewskiej Marynarki, znane nam już, blaszane baraki powitały chętnych do nauki uczniów, którzy tam mieli kończyć drugą klasę licealną i zdawać egzamin dojrzałości z pobliskim, legendą owianym jeziorem Lomond, za plecami.

W powielanym miesięczniku "Nasze Sprawy" próbowali swoich sił adepci twórczości dziennikarskiej czy zgoła literackiej. Grupy dyskusyjne roztrząsały interesujące tematy, miłośnicy teatru pokusili się o znakomite wystawienie "Dożywocia" Aleksandra Fredry z niezapomnianą kreacją Rózi przez Mieczysława Cudaka.

Z Tadziem zamieszkałem w tym samym baraku, siedziałem w klasie na tej samej, ostatniej ławie. O ile dobrze pamiętam, wcale się nie przechwalał przebytym szlakiem. Jako piętnastoletni chłopak został w lutym 1940 roku deportowany z rodziną z Wołynia pod Archangielsk, ale zdołał z wojskiem gen Andersa wyjechać do Iranu i przez Irak i Palestynę dostać do Egiptu. Stamtąd w składzie kompanii podchorążych popłynął do Afryki Południowej. Eskortując następnie do Anglii jeńców włoskich na statku "Laconia" został przez niemiecką łódź podwodną storpedowany. Po kilku dniach dryfowania po Atlantyku doczekał się przybycia francuskiego krążownika „Gloire". Wzięty do niewoli wraz z innymi rozbitkami dowieziony został do

Casablanki i osadzony w obozie jeńców w Maroku. Kiedy dwa miesiące później wylądowali tam Amerykanie, uwolniwszy obóz przetransportowali Polaków do Wielkiej Brytanii. W składzie I Dywizji Pancernej gen. Maczka znalazł się później we Francji, ale raniony w walkach w Belgii po konwalescencji wrócił do Szkocji na podchorążówkę w Crieff, a następnie zapisał się do Gimnazjum Słowackiego.



Szkocja. Pierwszy z lewej w dolnym rzędzie – Florian Śmieja, w środku tuż za profesorem Wietrznym – Tadeusz Walczak, fot. F. Śmieji.

Dr Roman Szajowski, nasz polonista, starał się nam jak mógł przedmiot swój uatrakcyjnić. Nie zawsze odnosił sukcesy. Wiedząc, że redaguję obozowy miesięcznik, patrzył na mnie

łaskawszym okiem z czego i Tadzio korzystał. Nie raz zresztą celnie mu podpowiadałem.

Bardzo dobrze obaj opanowaliśmy język angielski. Z tej przyczyny, jako dwaj reprezentanci I Korpusu ze Szkocji, Tadzio i ja pojechaliśmy na kurs instruktorski do angielskiego Welbeck Abbey, arystokratycznego pałacu, gdzie czasowo rozlokował się British Army College nr 2. Stara posiadłość sięgająca dwunastego stulecia po grabieży za czasów Henryka VIII pobudowała się w innym stylu, ale dopiero w dziewiętnastym wieku stała się sławna a raczej notoryczna, kiedy dziwak czy szalony książę Portlandu wziął się do gigantycznych robót ziemnych, do budowania ogromnej podziemnej sali balowej, ogrzewanego ogrodu i kilkukilometrowych podziemnych tuneli, by mógł incognito jeździć swoim powozem. Majątek miał piękne tereny, lasy, ogrody i stawy. Na jego łąkach rozgrywano rytualne mecze cricketa w tradycyjnych jasnych flanelach. W głównym budynku znajdowały się biura, salę balową w podziemiu ozdabiała imponująca galeria obrazów.

Ten ośrodek szkoleniowy, a właściwie przeszkoleniowy, miał za zadanie ułatwić demobilizowanym kombatantom przejście do życia cywilnego. Zaskakujący dla nas był już sam regulamin: do południa, do godziny dwunastej, obowiązywał ścisły rygor wojskowy i skrupulatne respektowanie hierarchii. Na uderzenie zegara zrywaliśmy z głowy furażerki, wkładali ręce do kieszeni i

nie dostrzegali żadnych szarż.

Kwaterowaliśmy z innymi Polakami w osobnym baraku. Rano toczyliśmy boje z Anglikami, którzy nam robili wczesną pobudkę i przegląd kwater, ale my, choć na kursie dla instruktorów języka angielskiego, udawaliśmy, że angielskiego nie rozumiemy i ociągaliśmy się z wstawaniem ku bezsilnej furii budzących. Dopiero w ostatnim dniu, dniu wyjazdu, zaskoczyliśmy kompletnie angielskiego sierżanta, który wszedłszy do baraku, by nas groźnie budzić, zastał całe towarzystwo na nogach z wzorowo posłanymi łóżkami.

Tadzio w swoim eleganckim, podszykowanym mundurze kaprala podchorążego I Dywizji Pancernej z czarną patką (jak mówiliśmy, żałobą po utracie koni) udzielał się towarzysko praktykując język, chodził na tańce do okazałej podziemnej sali balowej, grał w tenisa, łatwo dawał się kusić bliskiemu życiu szczęśliwego cywila. Miał już wtedy piękny cywilny garnitur, który nam pożyczał, kiedy robiliśmy fotografie, czy musieliśmy się gdzieś na mieście pokazać.

Naszymi instruktorami byli wytrawni wykładowcy i instruktorzy brytyjscy oraz dwóch Polaków. Demonstrowali nam najnowsze, wypróbowane metody uczenia, dynamicznej ingerencji słownej, ustawicznego praktykowania, kompletnego wchodzenia w atmosferę dyskursu, posługiwania się pomocami. Po

intensywnym szkoleniu nastąpiły z kolei nasze popisy i demonstracje nauczonych umiejętności. Pamiętam, jak mnie kazali uczyć formowania zdań podrzędnych i dokładnie proceder objaśniać grupie polskich kucharzy i tzw. „ciurów obozowych", którzy nie mieli zielonego pojęcia o budowaniu zdań w jakimkolwiek języku.

Obaj ukończyliśmy kurs pomyślnie, a wróciwszy do oddziałów, poszliśmy różnymi drogami. Jako funkcyjny sierżant-instruktor znalazłem się w końcu w Aberdeen w centrum szkolenia rybaków dalekomorskich. Fama głosiła, że rybacy dobrze zarabiają i szybko mogą oszczędzić potrzebne na studia pieniądze. Może przeczuwałem już wtedy, że zegarmistrzem nie będę, mimo bawienia się w reperowanie zegarków ku uciesze współmieszkańców baraku, łącznie z Tadziem, i że niebawem w morzach zabraknie dorsza, bo zacząłem gorączkowo szukać jakiejś mniej drastycznej alternatywy. Po wielu wysiłkach uśmiechnęło się do mnie szczęście. Udało mi się zakwalifikować na studia humanistyczne do południowej Irlandii w miejscowości Cork.



Tadeusz Walczak

Tadzio natomiast studiował ekonomię w Londynie. Obaj zgłosiliśmy się do egzaminu konkursowego, ja go nawet zdałem z wysoką lokatą, ale w końcu przyjęto innych. Mnie tłumaczono, że oficerowie, że zasłużeni, ranni, że jestem młody, mogę jeszcze poczekać. Niepocieszony, nie rozumiałem wtedy błogosławieństwa tej odmowy. Cóż bym ja robił w życiu z ekonomią?

Co innego Tadzio. On miał smykałkę do interesu. Zaczęło się niemrawo. Pamiętam jego sklep prowadzony z żoną Reginą i pierwsze transakcje. Potem zakładał różne firmy. Handlował azbestem. Ustawiło go w końcu szkło, a upadek PRL-u umożliwił sensowne kontakty z Polską. Miał ogromną satysfakcję, że mógł współpracować z rodakami i pomagać krajowi w godzinie próby.

Międzynarodowe sukcesy handlowe i specyfika firmy wymagały częstych i dalekich podróży. Tadzio był wielokrotnie w Chinach obserwując z bliska dynamikę rozwoju tego niezwykłego kraju. Będąc w Turcji zainteresował się Adampolem, polską osadą założoną przez Adama Czartoryskiego w 1842 roku. Pisze o niej z melancholią obserwatora posiadającego wiedzę historyczną, oglądającego ostatki szacownej inicjatywy, ofiarę nieubłaganego przemijania.

Jeszcze jedną jego niezwyczajną wyprawę trzeba wymienić: odwiedziny po latach posiołka Jeluga niedaleko Kotłasu. W 1993 roku pojechał szukać śladów pobytu w miejscu, do którego w 1940 roku wraz z rodziną wywieziony został na leśne roboty. Zobaczył jeszcze resztki baraków i spotkał niedobitki Polaków, którzy utknęli na tej nieludzkiej ziemi, utracili swój język, lecz zachowali mglistą pamięć o zsyłce i nieosiągalnej ojczyźnie.

W czasie swoich częstych podróży do Polski zajechał do Częstochowy na dzień Patronki uczelni, na której wtedy pracowałem jako gościnny profesor i na doroczny wykład wybitnych gości, w tym wypadku prof. Adama Strzembosza. Wespół z prezydentem Ryszardem Kaczorowskim celebrowaliśmy niespodziewane spotkanie w prężnej Akademii Polonijnej.

Wcześniej utrzymywaliśmy korespondencyjne kontakty (bo od

1969 roku zamieszkałem w Kanadzie) szczególnie w czasie powstawania autobiografii „Życie nie tylko własne”. Użyczyłem do książki kilku fotografii z naszej szkoły w Garelochhead, na których byliśmy obaj z wychowawcami i kolegami żałując, że w wielu wypadkach nie potrafiliśmy już przypomnieć sobie niektórych nazwisk, jeszcze jeden dowód na potrzebę skrzętnego notowania w czas dla zachowania pamięci.

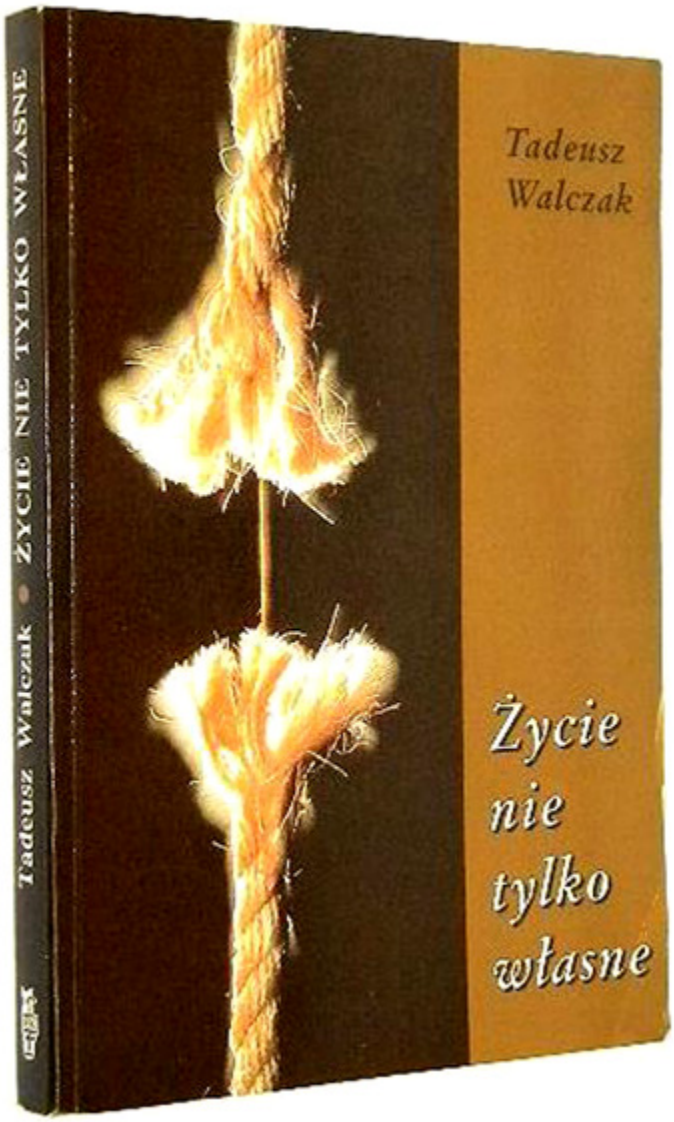

Książka Tadzia pięknie podsumowuje żywot jej autora i protagonisty, który z czasem zyskał w Londynie popularność i poważanie i zaczął odgrywać ważną rolę w życiu społecznym emigracji. Przez wiele lat udzielał się w Gminie Londyn Południe. Uhonorowaniem jego pełnego poświęcenia oddania pracy organizacyjnej był wybór w 1976 roku na przewodniczącego Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego. Przez dwie kadencje urzędowania popularyzował swoją organizację jeżdżąc po świecie, często w czasie wyjazdów zawodowych i spotykał się z Polakami na różnych kontynentach, a w stopniu nadzwyczajnym stał się w Londynie duchem sprawczym wielu ważkich akcji polskiej społeczności. W roku 1997 został prezesem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Czy szło o ratowanie zasłużonego tygodnika żołnierskiego rodem jeszcze z ZSRR i Iraku "Orła Białego" czy później "Dziennika Polskiego" czy wreszcie wspieranie polskiej twórczości literackiej, Tadeusz Walczak, wieloletni dyrektor Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego w Londynie, nie żałował ani czasu, ani środków wsparcia.

Kiedy odbierałem nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Uchodźtwie w 1991 roku, żartowałem, że warto było ongiś w Szkocji podpowiadać Tadziowi na lekcjach polskiego, bo to on właśnie był fundatorem nagrody, która mnie akurat przypadła i spowodowała przylot po odbiór do Londynu z Wrocławia, gdzie gościnnie wykładałem w katedrze Iberystyki.

Złote Sowy Polonii. Wiedeń 2018 r.



Laureaci Złotych Sów Polonii wraz z organizatorką. Od lewej: górny rząd – A. Małek, K. Tubylewicz, J. Sokołowska-Gwizdka, B. Maryańska, A. Salamon, B. Fleck, M. Probosz, E. Plichta, rząd dolny – N. Rehling, E. Dziedzic, D. Trepczyk, D. Fischer, M. Dworczak oraz Jadwiga Hafner, Photo Grafik by Dworczak.

24 marca 2018 roku podczas gali w Sali Sobieskiego w Polskiej

Akademii Nauk w Wiedniu, miało miejsce wręczenie statuetek – Złotych Sów Polonii, za działalność na rzecz kultury polskiej poza krajem w różnych kategoriach (literatura, muzyka, film, teatr, sztuki plastyczne, media, działacz polonijny, zasługi dla Polski i Polaków). Złote Sowy Polonii przyznaje Klub Inteligencji Polskiej w Austrii oraz pismo „Jupiter", którego redaktorem naczelnym jest pani **Jadwiga Hafner**, pomysłodawczyni nagrody i niezmordowana organizatorka tej imprezy.

W tym roku galę prowadzili: **Beata Dżon-Ozimek** oraz **Armin Innerhofer**.

W części artystycznej wystąpiła popularna w austriackiej Polonii **Barbara Lefik** (śpiew) oraz **Jerzy Teodorowicz** (fortepian).



Jadwiga Hafner rozpoczyna galę, fot. M. Dworczak.

Laureaci

Kategoria: Literatura

Katarzyna Tubylewicz

Sztokholm, Szwecja

Pisarka, publicystka, tłumaczka literatury szwedzkiej. Autorka powieści „Własne miejsca”, „Rówieśniczki”, „Ostatnia powieść Marcela”. Pomysłodawczyni i współautorka antologii rozmów o czytelnictwie „Szwecja czyta. Polska czyta”. Jej najnowsza książka „Moraliści. Jak Szwedzi uczą się na błędach i inne

historie” zebrała wiele świetnych recenzji.

Z języka szwedzkiego na język polski Katarzyna Tubylewiecz przełożyła cztery powieści Majgull Axelsson i głośną trylogię Jonasa Gardella o AIDS w Szwecji p.t. „Nigdy nie ocieraj łez bez rękawiczek”.

Z wykształcenia jest kulturoznawcą. W latach 2006-2012 była dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Wykładała na Uniwersytetach w Sztokholmie i Uppsali. Była dyrektorem programowym pierwszej edycji Gdyńskich Spotkań Tłumaczy Literatury „Odnalezione w tłumaczeniu”.



Joanna Sokołowska-Gwizdka, fot. M. Dworczak.



Katarzyna Tubylewicz, fot. M. Dworczak.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Austin, Teksas, USA

Autorka dwujęzycznej książki o Helenie Modrzejewskiej „Co otrzymałam od Boga i ludzi” oraz książki o polskim teatrze w Toronto i ludziach z pasją, którzy przez wiele lat ten teatr tworzyli „Co otrzymałam od Boga i ludzi. Kartki z życia emigracyjnej sceny”. Współautorka sztuki teatralnej o Fryderyku Chopinie, przetłumaczonej na języki angielski, francuski i

portugalski „Dobry wieczór Monsieur Chopin”. Redaktor naczelna magazynu poświęconego polskiej kulturze poza krajem „Culture Avenue”.



Laureatka Złotej Sowy, Natalia Rehling (z prawej) wraz z prowadzącą Beatą Dżon-Ozimek.

Kategoria: Muzyka

Natalia Kawałek-Plewnik

Wiedeń, Austria

Śpiewaczka operowa, mezzosopran. Z dużym powodzeniem występuje na europejskich scenach takich jak *Theater an der*

Wien, Kammeroper Wien, Glyndebourne Festival, jak i rodzimych: Teatr Wielki w Warszawie.

Absolwentka warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego im. F. Chopina oraz Uniwersytetu Muzycznego w Wiedniu. W ramach programu Erasmus kształciła się również w Rzymie. Wielokrotnie nagradzana. Regularnie współpracuje z prestiżowym Theater an der Wien.

Natalia Rehling

Wiedeń, Austria

Pianistka, chopinistka. Występuje w Europie, USA i Azji. Wykłada na Uniwersytecie Muzycznym w Wiedniu. Jej koncerty były transmitowane przez kilka europejskich stacji radiowo-telewizyjnych. Jej interpretacje utworów muzycznych na oryginalnych instrumentach klawiszowych z epoki klasycznej i romantycznej zostały utrwalone na filmach dokumentalnych. W czerwcu 2015 r. ukazała się jej solowa płyta z utworami Fryderyka Chopina, zagranymi na oryginalnym wiedeńskim fortepianie firmy Conrad Graf – instrumencie, który został wybrany przez Fryderyka Chopina.



Marek Probosz z żoną Małgorzatą, fot. M. Dworczak.

Kategoria: Film

Marek Probosz

Los Angeles, USA

Aktor, reżyser, scenarzysta, autor, producent. W Polsce i Europie Wschodniej znany jest jako „polski De Niro”. Ma na swoim koncie ponad 60 ról filmowych. W 2016 r. otrzymał pozycję „adiunkta” na prestiżowym *University of California, Los Angeles* (UCLA), gdzie jest profesorem aktorstwa filmowego i teatralnego od 14-tu lat. Wiele z filmów, w których brał udział, pokazywanych było na festiwalach filmowych w Wenecji,

Cannes, Karlovych Varach czy San Sebastian.

Marek Probosz wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1987 r. na zaproszenie *American Cinematheuqe* w Los Angeles. Od tej pory zagrał w wielu hollywoodzkich filmach z elitą amerykańskiego kina.

W 2006 r. zagrał rolę bohatera II wojny światowej w filmie „Śmierć Rotmistrza Pileckiego". Film zdobył m.in nagrodę specjalną Jury REMI podczas *International Film Festival* w Houston. Od tej pory aktor podróżuje z filmem po całym świecie, uczestniczy w międzynarodowych festiwalach i pokazach.

W 2018 r. swoja premierę będzie miał amerykański film fabularny „Valley of the Gods" w reżyserii Lecha Majewskiego, z udziałem Johna Malkovicha i Charlotte Rampling. Marek Probosz zagrał w tym filmie rolę aktywisty Johna Kazubowskiego.



Marek Probosz, fot. M. Dworczak.



Basha Maryańska, fot. M. Dworczak.

Kategoria: Sztuki plastyczne

Basha Maryanska

Nowy Jork, USA

Artystka zafascynowana różnymi technikami i materiałami. Eksploruje nowe środki wyrazu artystycznego, odkrywa paletę barw, aby dotrzeć do emocji odbiorcy. Wielokrotnie nagradzana za wystawy pokazujące jej różnorodne prace – od malarstwa, poprzez tkaninę, rzeźbę, instalacje, grafikę i fotografię.

Studiowała w Gdańsku, Warszawie i Paryżu. W 1986 r. uzyskała stypendium Fundacji Kościuszkowskiej i przez rok wystawiała swoje prace w Nowym Jorku, pracując przy tym nad symboliką Indian Ameryki Północnej. Należała też wtedy do *Polish American Artists Society.* Szerokim echem odbiła się wówczas wystawa PAAS-u „The Voices of Freedom” w *Arsenal Gallery* przy Central Parku i 5-th Avenue. Z wystawy m.in. nakręcono film pokazywany w amerykańskiej telewizji.



Dorota Trepczyk i Mirek Dworczak, Photo Grafik by Dworczak.



Marek Probosz i Mirek Dworczak, Photo Grafik by Dworczak.

Mirosław Dworczak

Linz, Austria

Studiował grafikę i fotografię na Uniwersytecie w Linzu. Pracował z baletem w Teatrze Opera Nova w Bydgoszczy oraz z Poznańskim Teatrem Tańca, utrwalając tancerzy w ruchu. Towarzyszył z aparatem wielu znakomitym choreografom, takim jak: Ewa Wycichowska, Ohed Naharin, Boris Ejfman, Frey Faust czy Marek Zajączkowski.

W centrum jego zainteresowań twórczych jako fotografa, stoją przede wszystkim ludzie sceny, ich role, pozy, kostiumy, maski.

Jego prace prezentowane były na ponad 50-ciu wystawach.



Agnieszka Salamon i Marek Probosz, fot. M. Dworczak.



Agnieszka Malek i Armin Innerhofer, fot. M. Dworczak.

Kategoria: Teatr

Agnieszka Malek

Austria

Absolwentka Szkoły Wokalno-Aktorskiej przy Teatrze Muzycznym im. D. Baduszkowej w Gdyni. Na deskach tego teatru zagrała swoją rolę dyplomową – Joannę w musicalu „Rent”. Wzięła także udział w spektaklach: „Wichrowe wzgórza”, „Evita”, „Jesus Christ Superstar”, „Ania z Zielonego Wzgórza”, „Pinokio”. Swoje doświadczenia teatralne z powodzeniem wdraża na deskach austriackich teatrów.

Agnieszka Salamon

Wiedeń, Austria

Aktorka polsko i niemiecko języczna oraz reżyserka teatralna. Ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną we Wrocławiu. W Wiedniu stworzyła pierwszy amatorski zespół teatralny AA Vademecum.



Od lewej: Dorota Trepczyk, Elik Plichta, Dorota Fischer, fot. M. Dworczak.

Kategoria: Media

Elik Plichta

Darmstadt, Niemcy

Dziennikarz radiowy. Prowadzi w Radio Radar cotygodniową audycję słowno-muzyczną „Magazyn Bigos”.

Dorota Fischer

Salzburg, Austria

Absolwentka warszawskiej SGGW. Od 28 lat żyje w dwóch kulturach, polskiej i austriackiej. W 2009 r. założyła Polsko-Austriackie Towarzystwo Salzburg. Redaguje też portal internetowy Polonia Salzburg, na którym relacjonuje wydarzenia polonijne i przeprowadza mini-wywiady z działaczami polonijnymi oraz animatorami kultury „Trzy pytania do…”. Jest odpowiedzialna za PR Radia PoloNews. Angażuje się w intergrację nowo przybyłych Polaków w okolice Salzburga.

Dorota Trepczyk

Linz, Austria

Była współzałożycielką polonijnej redakcji Polskie Radio w Górnej Austrii. W 2011 r. założyła dwujęzyczną redakcję radiową PoloNews. Audycje Radia PoloNews są nadawane przez kilka stacji radiowych na terenie Austrii i Niemiec. W ramach redakcji

stworzyła cykl „Cudze chwalicie, swego nie znacie”, dzięki któremu przybliża polską kulturę i tradycję oraz polskie regiony i miasta zarówno polskiemu, jak i niemieckiemu odbiorcy. Dorota Trepczyk szkoli też młodych adeptów sztuki radiowej w zakresie prawa medialnego i techniki radiowej. Od 2017 r. współpracuje z magazynem informacyjnym FROzine, przygotowuje niemieckojęzyczne audycje „Europa im Fokus” na temat sytuacji kulturalno-politycznej krajów postkomunistycznych.



Bogusław Fleck i Beata Dżon-Ozimek, fot. M. Dworczak.

Kategoria: Działacz Polonijny

Bogusław Fleck

Berlin, Niemcy

Absolwent wydziału komunikacji wizualnej oraz form przemysłowych w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Berlinie. Powołał do życia stowarzyszenie *Policultura,* w ramach którego zrealizował szereg projektów europejskich. Jest członkiem założycielskim pierwszego i jedynego poza granicami kraju polskojęzycznego Klubu Rotariańskiego w Berlinie. Celem Klubu jest realizacja projektów charytatywnych i propagowanie polskiej kultury. Bogusław Fleck jest też inicjatorem powstania Uniwersytetu Trzech Pokoleń w Berlinie. Wykłady są organizowane w języku polskim, z symultanicznym tłumaczeniem, na berlińskim Uniwersytecie Humboldta.



Ewa Dziedzic i Armin Innerhofer, fot. M. Dworczak.

Kategoria: Przyjaciel Polski i Polaków

Ewa Dziedzic

Wiedeń, Austria

Pierwsza w historii Polka – parlamentarzystka, która zajmuje miejsce w austriackim Senacie. Współzałożycielka Kongresu Kobiet Polskich w Austrii. Aktywnie wspomaga polską diasporę i przyczynia się do budowania pozytywnego wizerunku Polski i Polaków w Austrii.

***

W tym roku przyznano również nagrodę specjalną – statuetkę Sowiego Pióra. Otrzymali je felietonistka **Beata Dżon-Ozimek** oraz redaktor **Henryk Martenka**, szef działu zagranicznego tygodnika „Angora”.

Tekst opracowany na podstawie materiałów redakcji „Jupitera”.

Fotoreportaż



Laureaci w oczekiwaniu na galę. Od prawej: B. Maryańska, J. Sokolowska-Gwizdka, K. Tubylewicz, M. Dworczak, B. Fleck, D. Trepczyk, E. Plichta, fot. Jupiter.



Marek Probosz i Jadwiga Hafner, fot. M. Dworczak.



Od lewej: Dorota Trepczyk, Mirek Dworczak, Dorota Fischer, Photo Grafik by Dworczak.



Elik Plichta i Dorota Trepczyk, fot. M. Dworczak.



Od lewej: Beata Dżon-Ozimek, Basha Maryańska i Armin Innerhofer, fot. M. Dworczak.



Beata Dżon-Ozimek (L) i Jadwiga Hafner (P), fot. M. Dworczak.



Marek Probosz i Ewa Dziedzic, fot. M. Dworczak.



Prof. dr B. Dybaś, dyrektor Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu, fot. Basha Maryanska.



Jadwiga Hafner, fot. Basha Maryanska.



Barbara Lefik (śpiew) oraz Jerzy Teodorowicz (fortepian), fot. B. Maryanska.



Długie Polaków rozmowy. Jadwiga Hafner i Marek Probosz, fot. M. Dworczak.



Dwie Doroty. Dorota Fischer (P) i Dorota Trepczyk (L), fot. M. Dworczak.



Długie Polaków rozmowy. Od prawej: Joanna Sokołowska-Gwizdka, Basha Maryańska z mężem Markiem Bieńkowskim, fot. M. Dworczak.



Basha Maryańska z mężem Markiem Bieńkowskim, fot. M. Dworczak.



Długie Polaków rozmowy. Od lewej:Jadwiga Hafner, Dana Popek z Wiednia, współorganizatorka spotkania i Bogusław Fleck, fot. M. Dworczak.



Długie Polaków rozmowy. Natalia Rehling, fot. M. Dworczak.

Wywiad Aleksandry Ziólkowskiej-Boehm z laureatką Złotej Sowy w kategorii Literatura: Joanną Sokołowską-Gwizdka:

http://www.cultureave.com/joanna-sokolowska-gwizdka--laureatka-zlotej-sowy-polonii/

Gdzie szukać rękopisów Jana Darowskiego?



Florian Śmieja

Jan Darowski, skromny polski emigrant, poeta, krytyk i tłumacz, duch niezależny, człowiek o rozległych horyzontach zainteresowań, zmarł w Londynie. Pozostawił po sobie dwa zbiory wierszy, kilkadziesiąt przekładów poezji i garść esejów i wywiadów drukowanych w czasopismach.

Jeżeli nie zachował wśród swoich papierów rękopisów wspomnień i esejów krytycznych, nie będzie łatwo do nich dotrzeć, jeżeli się jeszcze znajdują w posiadaniu redakcji lub osób prywatnych.

Byłem przyjacielem Janka, dużo z nim rozmawiałem, a później utrzymywałem z nim długo korespondencję. Może zapamiętane strzępy rozmów i fragmenty listów pomogą trafić na ślady tekstów przez niego napisanych i kolportowanych bez sukcesu i skierują w miejsce, gdzie mogły się uchować i przetrwać świadcząc o zamiłowaniach i ekspertyzie autora.

***

Kiedy mieszkałem tak jak Darowski w Londynie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, o spotkania było nietrudno. Odwiedzałem go w jego domku niedaleko Clapham South. Potem przeszkodziły perturbacje rodzinne, do których doszły jego słaby wzrok i liche zdrowie. Zaprosiliśmy go do naszego domu w środkowej Anglii, kiedy przeniosłem się pod Nottingham, bo na tamtejszym uniwersytecie dostałem pracę. Darowski opisał swoją

wizytę ze zwykłą sobie szczodrością:

> Nie zapomnę nigdy mojego pobytu u was w listopadzie 1967 roku, kiedy wszystko u mnie było jedną bolesną miazgą, a wy zaopiekowaliście się mną z taką delikatnością i wyczuciem mojej sytuacji, że z ręką na sercu mogę powiedzieć, że w życiu nie zaznałem lepszej opieki.

Po przeprowadzeniu się do Kanady odwiedzanie go w Londynie stało się rzadsze, choć nie ustało, a kiedy zostałem ojcem chrzestnym jego najmłodszego syna, Michała, przybył dodatkowy temat do rozmów i potrzeby kontaktu.

Przenosiny za Ocean bardzo się Darowskiemu nie podobały. Przyrównał je do przesiadki z wikingowskiej łodzi (logo „Kontynentów) do nowoczesnego statku transatlantyckiego. Strofował mnie, że stałem się nieuchwytny “zamiast spokojnie siedzieć w kapciach w swoim gabinecie i pisać” oraz „Gdybyś się tak ciągle nie wiercił i nie ganiał po świecie, to dostałbyś ode mnie listy i krótkie, i częstsze”. A tak listy były rzadkie i długie. I jak ich autor, bezpośrednie i bez kokieterii. Choć nie bez modulacji dumnej skromności.

Nie zazdrościł mi podróży, widoków i wrażeń. Raczej beztroskiej swobody ruchów zdrowego człowieka. Po fatalnym bowiem ataku

i utracie przytomności przed domem, czekała go długa i bolesna kuracja. Kiedy wreszcie wypuszczono go do domu, musiał w kieszeni nosić żółtą kartę na wypadek zranienia, tak aby mogli mu dać w ambulansie zastrzyk stężający krew. Czuł się więźniem i bał się sam wychodzić na spacer. Marzenie o podróży do Polski przepadło. Darowski wzdrygnął się na myśl, że może znaleźć się w przykrych tarapatach na polskiej ulicy.

> Kto umiałby w Polsce tę kartę odczytać i komu by się chciało nią przejmować. Tutaj jestem otoczony rodziną i angielskimi sąsiadami, dla których „kochaj bliźniego” nie jest tylko pustym frazesem. Poza tym muszę sterczeć koło szpitala St. Georges i regularnie być wożony na badanie krwi i regulację dawki owej trucizny na szczury.

I pomyśleć, że w takich warunkach balansowania między życiem i śmiercią powstały niektóre jego wiersze. Wspominał o tym w liście:

> Z kroplówką w przegubie ręki i niepewny jutra machnąłem szereg wierszy. Niektóre rymowane i bardzo wisielcze, jeden liryczny. Po prostu zwaliły się na mnie i tylko je zapisywałem ledwo widząc litery. Miałem co prawda szerokie okno przy łóżku i codziennie nad Wimbledonem najcudniejsze zachody

> słońca, jakie kiedykolwiek widziałem. Z tego wnioskuję, że to jeszcze nie koniec dla mnie i będą inne wiersze. Tylko nie tracić wiary. Z prozą daję już za wygraną. Nie jestem na dzisiejszych polskich częstotliwościach, ani też na nich być nie pragnę. Nie interesuje mnie literacka bawialnia.

Były jeszcze inne nawroty natchnienia:

> Czasem to leje się ze mnie jak lawa… Trudna rzecz nadrabiać w tygodnie zagubione lata i człowiek wszystko i wszystkich odsuwa, żeby coś powracającego nie przeszło mimo.

Ale był czas, gdy pisał ważne teksty prozą.

> Ciągle ślęczę nad tym esejem dla Giedroycia. On boi się go wydrukować i napisał mi o tym otwarcie. Ale mówi, że go chce mieć koniecznie, bo „temat bardzo ważny”. Chce bym rzecz trochę bardziej stonował, bo inaczej będzie draka. Z drugiej strony mnie samemu esej przestał się nagle podobać. Za dużo w nim pasji, za mało chłodnych analiz. I napisałem Giedroyciowi, żeby go nie drukował. Planuję większe rzeczy niż szarpaninę. Ale rzecz mi się rozdyma i mam całą książkę

> w tym i próbuję wtłoczyć w ramy eseju. Książki takiej nie będzie, za późno na nią w moim życiu. Moje teczki są pełne, proza i wiersze.

Zanim Darowski wziął się do realizacji wydania sobie drugiego tomu wierszy, posłał Giedroyciowi kilka wierszy z informacją, że ma ich więcej w teczkach. Chciał, by Giedroyć domyślił się o co mu chodziło. Giedroyć nie zareagował, a kiedy Darowski obraził się na „Kulturę" za nie drukowanie dużego eseju, na szczęście skorzystał z nadarzającej się pomocy w drukarni Bednarczyków, by złożyć i wydrukować „Niespodziewane żywoty".

Zasadniczo nie dbał o losy swoich tekstów. Nie pomagały w ich konserwacji porażki, których doznawał wysyłając je do Polski, gdy emigracyjni redaktorzy zawiedli. Wietrzono w nich podejrzane zapachy. W liście zanotował:

> Lisowski zażądał wycofania z „Twórczości" rzecz uchwaloną przez zespół redakcyjny ich „szerokie szpalty" bo musiał biegać po pieniądze de Dejmka. Widocznie wydawało mu się to aż zanadto aktualne, choć też było pisane w 1973 roku. Uchwalili dla siebie „grubą kreskę" i nie pozwolą nikomu na rozgrzebywanie tego. Spróbowałem więc szczęścia z tym w „Kresach", ale tam jest podobnie. Też muszą ganiać po forsę do swych lokalnych kacyków i nie mają najmniejszej chęci

> ich sobie zrażać. Pisali mi aż dwa razy, dlaczego ten tekst się nie ukazuje. „Zabrakło nam miejsca”, „Nie układało się to w numerze”, lecz są to tylko wykręty. Wcale nie pytałem ich o to, więc chyba pisało do mnie ich nieczyste sumienie. Pewnie czekają teraz na numer, w którym się to da zgubić w rubryce, powiedzmy „Emigracja”, albo „Starocie”. Zaproponowali mi natomiast książkowe wydanie moich esejów, bo im się „bardzo podobają”, ale ja chyba na to nie polecę. Nie ma specjalnej radości w dalszym trzymaniu tego w teczkach, ale chyba jest jakieś *integrity*. Ważniejsze to dla mnie niż „sukces” za wszelką cenę. Oni zaś nie reklamując tych rzeczy drukowaniem w piśmie, skazują książkę na „cegłę”.

Przewiduję w konsekwencji trudności ze skompletowaniem spuścizny po Darowskim. Jak zebrać rękopisy szczególnie jego prozy? Czy znajdziemy kopie jego tekstów? Czy istnieją w redakcjach oryginalne manuskrypty, które nie doczekały się druku. Pewna wskazówkę mamy w korespondencji:

> Pokusiłem się na ten drugi wywiad. Pierwszy już się ukazał (z błędami) i żałuję, że go napisałem. Za krótka nasza łyżka to *sup with the media*. Drugi wywiad ma około 25 tysięcy słów i pewnie pójdzie do kosza. Basia go czyta i mówi, żebym go sobie zachował na jakiś inny użytek, ale jestem tak

wściekły, że chyba go zniszczę. Zupełnie wytrąciło mnie to z rytmu pisania „Unsere” i pomogło mi do obecnej choroby. Cztery moje eseje krążą po kraju i szukają chętnych. Nie wiem, czy w końcu znajdą. Majowa „Twórczość” wydrukowała fragmenty z „Notatnika”. Miało to trzy części, ale wydrukowali tylko dwie, w trzeciej ich coś przestraszyło. Teraz wiem co, bo mieli też moją rzecz o Dostojewskim, Gombrowiczu i „duszy słowiańskiej” (Ty i Bogdan też w tym jesteście) i wpierw miało to iść na szerokich szpaltach, ale potem zaprotestowali „filo rosyjscy członkowie redakcji”. Nie wiem, co z tym będzie. „Gdybym ja tylko był wiedział…” znalazło klientów, bo ponoć „rzecz jest aktualna i b. WAŻNA”. Ale kiedy to pójdzie, gdzie i czy w końcu pójdzie? Dwa inne też niby znalazły chętnych, ale wszystko to jest trochę mgliste. „Kresy” zapowiadają moje wiersze, ale poczekamy na nie do stycznia. Pięć sobie wybrali z dziesięciu posłanych.

„Kresy” zapowiadały najpierw ten wywiad w piśmie, ale w końcu go nie wydrukowały. Potem zapowiedziały moją rzecz ostatnią. Ale czy wydrukują? Nie powiem, że nie zależy mi na tym, raczej bardzo mi zależy, ale świat się nie zawali, jeśli tego nie zrobią. Może Kossowska ma rację, że oni tam wszyscy są zatruci dekadami anty emigracyjnej propagandy i do tego dochodzi zazdrość, że niektórzy z nas mieszkają we własnych domach i jeżdżą autami. Im się też to należy, plus,

> oczywiście etat literata, festiwale w Zagrzebiu i hotele w Paryżu.

W takiej sytuacji martwiłem się o rękopisy, które nie zostały drukowane lub nie poszły do druku, a najbardziej o te, które spotkały się z krytyką, w jakimś stopniu przez Darowskiego nie akceptowaną. Dlatego ucieszyłem się, kiedy w liście z 1996 roku napomknął:

> Porządkuję teraz moje materiały, żeby nie zostawić po sobie zbyt wielkiego chaosu… Napędził mi pietra ten ostatni udar, więc wziąłem się trochę w garść. Basia kupiła mi w tym celu foldery i już zebrałem dwadzieścia pięć kawałków prozy, drukowanej i niedrukowanej, jako teksty do książkowego wydania. A musiało tego być u mnie na kilka książek, więc mam dużo do roboty.

W naszych dyskusjach i rozmowach często poruszaliśmy racje dwu czołowych pism emigracyjnych: londyńskich „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego i paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Darowski bardzo cenił Michała Chmielowca, który prowadził „Wiadomości” po odejściu Grydzewskiego. Znalazł z nim wspólny język i chyba łudził się, że mu wszystko wydrukuje. Doniósł mi, że widział on, jaką mądrą rzeczą jest społeczne

nastawienie „Kultury”, niestronienie od „gnoju” czyli pozaliterackich elementów życia i chciał czegoś podobnego dla „Wiadomości”, rozumiał też coś czego polscy pisarze nie zdają się pojmować, że jeśli pismo chce zajmować się wyłącznie literaturą, to jej właściwie, nie potrafi zrobić.

> Cały mój zapisek o Grydzewskim w „Notatniku” jest o jego unikaniu świata pozaliterackich zaangażowań i wypełnianie pustki jakimiś hałaśliwymi walkami i urojonym przeciwnikiem w wadze piórkowej. Przecież telewizja sprząta spod nosa tę kupę „gnoju”, której atencję można jeszcze gdzieś tam zdobyć tylko dzięki jakiemuś utytłaniu się życiem pozaliterackim. Pewnie działa tu nasza stara polska tradycja niewystawiania głowy, czyli intelektualnego i moralnego w końcu tchórzostwa.
>
> Pierwszy mój wiersz nadający się może do druku brzmiał:
>
> Tchórzliwość umysłowa nas głównie cechuje,

Przeto siedzimy w kącie najciemniejszym dziejów.

Z naszych bzdur desperackich dorośli się śmieją

Z fałszywym uznaniem plecy nam poklepią.

A kończy:

Ani na zbrodnie nas stać, ani na śmierć w arenie

Nie schodzą z naszych ust słowa „Bóg” „Prawda”, „Sumienie”

Lecz nasz oziębły uśmiech jest jak wygasłe piekło,

Lub niebo, które się świętych swoich wyrzekło.

Patriotyzm śląski jest często szorstki, gorzki i zawiedziony. U Darowskiego znajdziemy go w obfitości:

> Tysiąc lat jesteśmy historycznym narodem, a nie wsławiliśmy się niczym szczególnym w kulturze, prócz może bezustannego gadania o niej. Następna moja książka będzie głównie na ten temat i pewnie nikt nie zechce mi jej wydrukować, bo drugiego Chmielowca nie znajdę… Habilitowali się na polonistyce, czy nie? Potrafią pokpiwać sobie, jak ich wyuczono, z Xiędza Baki czy nie? I ani jeden z tych bałwanów, jak Polska długa i szeroka, i już od pokoleń, nie zdołał jeszcze zauważyć, że w zakończeniu „Zoilusa" Baka sięgnął wyżej i piękniej niż jakikolwiek polski poeta przed nim i po nim. Nawet Hopkins i Donne wyżej nie mogli. Więc co chcesz? Piszę Hopkins i Donne dla podobnej intencji językowej i metafizyki. Jeśli zaś skróty Hopkinsa nas zachwycają, a Baki tak strasznie śmieszą. to tylko dlatego, że język polski umie streszczać tylko w komunały i staje się wręcz absurdalny, gdy stara się wznieść tam, gdzie anioły. Jak już w „Wiadomościach" pisałem, w najlepszym wypadku można z nim do „Hioba" lub „Eklesiasty". Ale do „Pieśni nad pieśniami", do „Psalmów", to tak jak byś chciał zagrać Mozarta na grzebieniu i postnej klepaczce. Przyziemne z nas plemię i takież są nawet najlepsze z naszych pieśni.

Darowski nie wstydził się przyznać do obserwacji, że mimo wszystko Gombrowicz i Miłosz na Zachodzie nie „biorą”, mimo Nobla i wielu przekładów. Przyczyny są jego zdaniem, pozaliterackie. Literatura polska po prostu nie wchodzi do ideo obiegu zachodniego, cokolwiek by nie robić.

Takie śmiałe opinie mogły się wydać zbyt daleko idące i drastyczne, nie do przyjęcia przez czytelnika i redaktorzy usiłowali je stonować, ułagodzić i w konsekwencji ich nie dopuszczać. Należy też mocno wątpić, by nawet Chmielowiec, na którego się Darowski powoływał, „wszystko” by mu wydrukował. Do zadań badacza należy obecnie potrzeba odszukania tekstów i ich ewentualnego opublikowanie.

O Janie Darowski na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/lektion-der-stille/

http://www.cultureave.com/jan-darowski-poeta-nieznany/

http://www.cultureave.com/zmartwychwstanie-z--posmiertnych-papierow-jan-darowski/

http://www.cultureave.com/powroty-jana-darowskigo/

Badania na temat Jana Darowskiego na Uniwersytecie w Rzeszowskim:

http://jandarowski.pl/napisano-o-darowskim/98-o--janie-darowskim-w-rzeszowie.html

---

Młyn jak z bajki



Młyn wodny z Siołkowic Starych.

Włodzimierz Wójcik

Cóż może być bardziej dla mnie przyjemne niż wspominanie w te wiosenne roztopy, rozległych srebrnych plam falującego na lekkim wietrze, dojrzewającego żyta. Takie obszary malarskie istnieją w mojej pamięci, która jest swoistą galerią znakomitych pejzaży. Pejzaży nie namalowanych, ale przecież utrwalonych. Póki żyję, żyją też – te z dawnych lat – żytnie kłosy, złote kłosy pszenicy, kłosy jęczmienia z kruchymi długimi wąsami oraz krótkie łodygi owsa, z drgającymi nerwowo ziarenkami. Pod koniec lata ten człowieczy urobek, po skoszeniu, wieziony był, po młócce, do młyna. Niektórzy ludzie lubią przesypywać z garści

do garści złote monety, mnie wystarczyło zanurzać dłonie w ziarnach zboża wypełniającego kosmate szorstkie szare worki. Ciepło płynące z tych szlachetnych ziaren zapowiadało łagodną ciepłotę bochnów wyciąganych z chlebowego pieca opalanego klocami najszlachetniejszego drewna. Oczywiście, zanim ziarno zamieni się w nasz chleb powszedni, musi przejść bolesny rytuał spotkania z młynem, z szorstkimi dwoma kamieniami, obracającymi się w przeciwnych kierunkach, trącymi zboże, sypiącymi tak oczekiwaną mąkę…

Pojęcie młyna jest stare jak świat, a właściwie jak Biblia. Czytamy w piśmie Świętym: „Młyny boże mielą wolno, skrupulatnie i na miałko, a prawda jest jedna i nierozdwajalna". Maksyma ta zawiera dwie mądrości. Jedna powiada, że każda praca przyniesie owoce, jeśli jest wykonywana rzetelnie, bez szalonego pośpiechu, a w rezultacie dokładnie. Mądrość druga niesie pouczenie, że wcześniej czy później nasze czyny będą sprawiedliwie ocenione przez siły nadrzędne, na przykład boskie. Potrzebna jest tylko cierpliwość. Cierpliwość.

Tego rodzaju spostrzeżenia czyniłem od najwcześniejszych lat dzieciństwa, obserwując monotonny rytm pracy koła rzecznego młyna pana Kłapci „na Brzozowicy". Młyn stał przed skrzyżowaniem ulicy Siemońskiej (idącej z zachodu, z Łagiszy do Dąbrowy Górniczej), z Czarną Przemszą. Dwa brzegi rzeki łączył drewniany most z mocnymi poręczami. Od strony północnej

masywnego budynku z bali drewnianych była platforma służąca przyjmowaniu worków z ziarnem. Od zachodniej strony młynarze wydawali mąkę. Od południa cierpliwie obracało się olbrzymie koło młyńskie poruszane wodą Czarnej Przemszy, do której wcześniej wpadała moja „domowa rzeka", Strumyk Psarski, często nazywany po prostu Psarką. Właśnie to koło uruchamiało napęd mechanizmów młyna.

Spadająca z wysokości, spiętrzona stawidłami woda rozpryskiwała się formując w powietrzu, gdy było słońce – ku mojej i moich rówieśników uciesze – wielobarwne tęcze. Z owego bajecznego „podemłynia" często biegaliśmy rozległymi łąkami pełnymi kwiatków polnych. Wielekroć, po przejściu rzecznej kładki, dostawaliśmy się na wzgórze, gdzie znajduje się będziński cmentarz, gdzie dzisiaj dzieciaki chodzą do swego teatru noszącego imię Dormana. Pamiętałem słowa ojca, że na tym cmentarzu leży pochowana jego matka, a moja babcia Jadwiga. Zmarła prze moim urodzeniem w domu rodziny Przyłuckich, zaledwie sto metrów od „naszego" młyna. Ten dom przez lata był miejscem spotkań rodzinnych. Słynna ulica Polna 2. Tu żył brat mojego ojca Franek, ożeniony z Sabiną z Przyłuckich. Z ich córkami, Wiesią i Zosią oraz dzieciakami z okolicy bawiliśmy się tuż przed 1939 rokiem, w czasie okupacji i po wojnie. Bezustannie ciągnęło nas do czarodziejskiego młyna.

Stróż całej posiadłości państwa Kłapciów, postukując sękatą

laską, obchodził zabudowania i podśpiewywał, ni to sobie, ni to nam, dowcipną piosenkę:

> Gdzie żeś ty bywał, czarny baranie?
>
> We młynie, we młynie, mościwy panie.
>
> Cóżeś tam robił, czarny baranie?
>
> Meł mąkę, meł mąkę, mościwy panie.
>
> Cóżeś tam jadał, czarny baranie?
>
> Kluseczki z miseczki, mościwy panie.
>
> Cóżeś tam pijał, czarny baranie?
>
> Miodeczek i mleczko, mościwy panie.
>
> Gdzieżeś uciekał, czarny baranie?

> Hopsasa do lasa, mościwy panie.



Kiedy jako dzieciaki schodziliśmy z ulicy Polnej, czyli z dość wysokiej skarpy nad wyrównaną już poniżej młyna taflę Czarnej Przemszy, która – wbrew nazwie – miała błękitną czystą wodę, zabawom nie było końca. Często, biorąc się za ręce, śpiewaliśmy:

> Koło młyńskie za cztery ryńskie; koło nam się połamało, żyto nam się wysypało, a my wszyscy bęc na ziemię. Komu, komu, bo idę do domu?!

Jeden z młynarzy, pan Paweł dogadywał rolnikom przywożącym do zmielenia żyto czy owies: „Masz mało ziarna, posyp je swej kurze, masz dużo ziarna, zanieś je do młyna”. Dla przydomowego drobiu gospodarze zwykle mieli jakieś resztki, czyli po prostu ziarno z plewami. Było oczywiste, że kura czy kurczak znajdzie to, co mu jest potrzebne. Czyste, owiane i wysuszone zboże wieźli – jak mówiono – „na Brzozowicę”.

Na północ od młyna stał dom mieszkalny w olbrzymim sadzie drzew owocowych. Znajdowała się tam także słynna piekarnia Kłapci. W czasie okupacji cały ten majątek przeszedł pod nadzór władz niemieckich. Pan Kłapcia był zaledwie pracownikiem. Nam się to opłaciło. Oto bowiem jego syn Staszek podkradał z kantoru kartki na chleb i z łobuzerskim uśmiechem szczodrze nas nimi obdzielał. Wypieki z tej piekarni, wielekroć nazywane przez nas „kłapciokami”, były po prostu niebiańskie. Zwłaszcza te z podsypką.

Tę bajeczną krainę mojego dzieciństwa zmieciono z powierzchni ziemi wówczas, gdy zaczęto budować odkrywkową kopalnię węgla kamiennego. Niestety węgla nie było wiele. Wówczas nastąpił proces odwrotny. Ogromny dół zaczęto zasypywać odpadami przesyłanymi z Elektrowni „Łagisza”. Dzisiaj z wielu stron przechodzę wokół tej niemal martwej przestrzeni, która dawniej była oazą bujnego i pięknego życia. Od łagiskiego skrzyżowania ulicy Odkrywkowej – dawnej Siemońskiej – z ulicą

Pokoju wiodąca ku Siewierzowi i Warszawie – udaję się w kierunku dawnego młyna pana Kłapci. Po niecałym kilometrze zastaję betonową zaporę. Tam za nią jest gruzowisko i czające się niebezpieczeństwo. Okazuje się, że teren jest jeszcze nie uporządkowany. Nie w pełni ożył, a już ktoś ponownie chce go zamordować, planując budowę fabryki asfaltu. Okoliczni mieszkańcy mają tego dość. Ostro protestują. Pomagają im w tym samosiejki brzóz, które coraz śmielej wdzierają się w szarzyznę poranionej ziemi. Minęły dziesięciolecia, a to wszystko, co było źródłem moich i naszych dziecięcych doznań spod koła młyńskiego młyna pana Kłapci, żyje w moim sercu.

Zaufanie



Florian Śmieja

Dom noclegowy jednej z polskich organizacji w Londynie nazywał się ładnie: hospicjum. Był położony przy szykownym skwerze niedaleko stacyjki kolejki podziemnej linii Piccadilly. Mieścił się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Budynek był raczej szczupły w monumentalnym stylu całego sąsiedztwa.

Hospicjum dawało nie tylko znakomity, centralny adres pocztowy, ale oferowało ponadto studentom polskim niedrogie pokoje. Wprawdzie pomieszczenia były dwu i trzyosobowe, ale przy odrobinie cierpliwości i szczęściu można było wynająć jeden

z trzech jednoosobowych pokoików.

Jeden z nich, pokój skromny, bez żadnych luksusów, umeblowany raczej po spartańsku zajmował Adam. Dostał go po Zupce, jego wieloletnim mieszkańcu. Zupka był statecznym, sympatycznym blondynem z wypiekami na uśmiechniętej stale twarzy. Studia zaczął w Bolonii po demobilizacji z II Korpusu. Tam też zakochał się we włoskiej studentce, z którą utrzymywał żywą korespondencję.

Ukończywszy studia chemii w Londynie, zaczął rozglądać się za pracą i pilnie wertował oferty ogłaszane w angielskiej prasie. Posyłał swoje zainteresowanie piśmiennie do firm poszukujących chemików i cierpliwie czekał na wezwanie na kwalifikacyjną rozmowę.

Kiedy wreszcie przyszło z Midlandów zaproszenie z wielkiej cementowni, Zupka błyskawicznie zadziałał. Najpierw pożyczył pieniędzy, by kupić sobie elegancki garnitur. Chciał zrobić jak najlepsze wrażenie przy spotkaniu z przyszłym chlebodawcą. Pojechał pociągiem pierwszą klasą na znak, że siebie ceni.

W czasie rozmowy szerzej opowiedział o swoim życiu, także o zsyłce do Związku Sowieckiego. Wspomniał o zapamiętanej z tamtych czasów cementowni. Okazało się, że stary Anglik, który z nim rozmawiał, budował ją przed wojną dla firmy Portland.

W końcu padło pytanie o płacę. Zupka śmiało zażądał stosunkowo wysokiego wynagrodzenia. Dyrektor ze zdziwieniem zauważył, że petent chciał więcej od innych kandydatów nie mając żadnego doświadczenia, wszak starał się o pierwszą pracę. Elegancki Zupka odpowiedział spokojnie, że wprawdzie szukał pierwszej posady, ale myślał o stałej pozycji, o rzetelnej pracy, a nie o tymczasowym zatrudnieniu. Dostał stanowisko, o które się ubiegał, sprowadził wnet narzeczoną do Anglii, poślubił ją i oboje wyjechali na prowincję.

Jego pokój wziął Adam. Nie wiem, czy gdzieś studiował, utrzymywał się z dorywczych prac. To faszerował w fabryce pierogi, to zatrudniał się przy wyrobie lodów. Ponieważ od dłuższego już czasu zalegał z płaceniem komornego, zarządca domu inżynier Krótki, o rzęsach jak tropikalna ryba, po wielu ostrzeżeniach, wręczył mu wymówienie.

Za eksmitowanym nikt się nie ujął. Jedni go wcale nie znali, drudzy, znając, nie widzieli sensu w interweniowaniu. Nie pamiętam, czy wiedział o sprawie ks. Wiśniewski, kapelan akademicki, który mieszkał na parterze. Był osobą bystrą i lubianą, spotykała się u niego tzw. złota młodzież, co nie chroniło go bynajmniej od spontanicznych sztubackich wybryków psotnych mieszkańców hospicjum, którzy np. włączali odkurzacz do kontaktu obok księżych drzwi na parterze, a w nocy czy nad ranem przekręcali na piętrze kontakt, który uruchamiał głośny

sprzęt na dole.

Adama bliżej nie znałem, ale jego sprawa mnie dotknęła, sumienie obudził jego los. Współczułem mu. Nie rozumiałem potrzeby egzekwowania rygorystycznych przepisów, ścisłego szanowania reguł, wagi ostrzeżenia. Wydało mi się godniejsze błądzenie po stronie łaskawości i tolerancji. Wierzyłem na słowo i stanąłem przy boku ofiary nie interesując się bliżej przesłankami, którymi kierowali się zarządzający domem. Sam fakt, że instytucja nie była ściśle komercyjna, dodawał mi otuchy, aby zaapelować do sumień i zażądać cofnięcia młodemu człowiekowi nakazu opuszczenia domu. Wydawało mi się, że wezwanie do zaufania wbrew przesłankom i doświadczeniu, do ryzykowania raz jeszcze, było obowiązkiem przełożonych, że strata finansowa nie była współmierna z surowym potraktowaniem. Musiałem wtedy wyglądać jak zapalony misjonarz lub fanatyczny rzecznik spraw beznadziejnych.

Adam przez cały czas, kiedy ważyły się jego losy, zachowywał się nieporadnie, a przy tym trochę się jąkał, każąc mi wierzyć, że wstawiam się za człowiekiem, który sobie sam nie potrafi pomóc, że brakuje mu swobody, by mógł jasno wyłuszczyć źródła niepowodzenia. Moja elokwencja, czy powstały z powodu mojego wystąpienia ambaras, sprawiły, że nakaz opuszczenia mieszkania, odwołano. Dzięki mnie dano dłużnikowi jeszcze jedną szansę.

Zaraz po zapadnięciu przychylnej decyzji Adam przyszedł do mojego pokoju i długo i wylewnie dziękował mi za ingerencję i pomoc w jego sprawie. Uścisnąłem mu rękę. Pewnie czułem krzepiące zadowolenie ze swojego zachowania, z przeciwstawienia się opinii kierownictwa, z posłużenia się moralnym argumentem, ideologicznym szantażem, kiedy nic nie skutkowało.

Adam, ośmielony trochę, zaczął rozglądać się po moim pokoju. Spojrzał na stół, na półki z książkami. Zobaczył na wieszaku mój podniszczony letni płaszcz wymagający pilnego czyszczenia. Znam pralnię – odezwał się – Przyniosę wyczyszczony.

Nie oponowałem, aczkolwiek nie spodziewałem się żadnej wdzięczności oprócz słów podziękowania. Wyszedł z moim płaszczem, przepadł i więcej się w hospicjum nie pokazał. Płaszcza też już nigdy nie zobaczyłem, choć strata materialna była minimalna i nie na tyle dotkliwa, by zachwiać skutecznie moim zaufaniem do drugiego człowieka.